Ner 2. **Kraków 15 stycznia 1868.** **Rok III.**

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Mikołajskiéj Nr. 451 na dole, otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

†

I znowu na tém miejscu powszechną, narodową stratę zapisać nam przychodzi.

KAROL SZAJNOCHA

pisarz wielkich zasług, historyk równie sumienny, jak popularny i wielkich cnót obywatel — ociemniały wskutek mozolnéj pracy od kilku lat — umarł we Lwowie d. 10 stycznia 1868 r.

Niewygasła pamięć, wdzięczność i błogosławieństwo narodu towarzyszy mu wraz z płaczem rodziny w nieznane światy.

☛ Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **nuty**.

Pogadanki domowe.

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

II.

(Ciąg dalszy.)

Niewłaściwém bywa zastósowanie przysłowia: „Nowa miotła dobrze zamiata“. I mylném jest przypuszczenie, że częsta sług zmiana korzyść przynosi. Przechodnie chwili pozostaną nam obcymi zupełnie i obojętnymi na wszystko. A kilkoletni sługa, chociaż może zpoufali się nieraz, przywiąże się natomiast do domu przez samo nawyknienie — i dba o jego dobro.

Nie dać powodu, by sługa spoufaliła się za nadto, ale pozyskać jéj zaufanie i serce, i wszczepić w nią obowiązku poczucie — otóż zadaniem jest wielkiém. — B o s ł u g a t o c z ł o w i e k; to bliźni, nie niewolnik; to ubogi i prostak, nie nieprzyjaciel — a w wolnych krajach dodanoby: to współobywatel!

Nie wtajemniczać służby do spraw familijnych i sąsiedzkich; nie mówić przy niéj o rzeczach, których wiedzieć nie powinna, bo ztąd rodzą się plotki i k o m e r a ż e; nie swarzyć się z sobą... w jéj obecności, by słabéj i ujemnéj strony p a ń s t w a nie poznała. A mieć zawsze na względzie, że takie postępowanie pozbawia nas w jéj oczach pożądanéj powagi i pewnego uroku, jaki nas otaczać winien.

Wymierzać sprawiedliwość wszędzie i zawsze. Dać służbie wszystko jak się przynależy; dozwolić jéj i przyzwoitéj niekiedy zabawy; być dla niéj moralności przykładem — a zarazem i wymagać, by ściśle powinność swoją spełniała, — są warunki, które pożądany stosunek pomiędzy państwem a służbą zapewne utrwalą.

Gdy sługa zachoruje, należy dozorować ją troskliwie, rady lekarza zasięgnąć i starać się o jéj zdrowie sumiennie. Pomnijmy, że to jest sierota społeczna, mająca prawo należenia do wspólnéj nam wszystkim wielkiéj rodziny kraju. Nadto, że przy pracy dla nas zdrowie utraciła. Pieczołowitość okazana jéj w chorobie, zapewne ją do nas przywiąże. A to głównie do pani domu należy.

Nie odmawiać dobréj sługi sąsiadowi, przykazaniem jest Bożém.

III.

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nie ludno;
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno....

. . . .

Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył;
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.

. . . .

G o ś ć w d o m, B ó g w d o m — w dawnéj mawiano Polsce. I zapewne, że względność, chęć dobrą, a nawet łaskę czyni przybywający w dom, za co gospodarstwo wdzięczni mu być winni.

Naród polski zawsze z gościnności słynął. Doznawali jéj obcy — różne cudzoziemskie włóczęgi — nieprzyjaciele nasi, którzy się następnie za serce poczciwe i podaną skoro rękę, odpłacali szyderstwem i zdradą... Ale nie miejsce tutaj mowić o têm.

Gościnne podejmowanie nie zależy na wyszukanych potrawach i napojach — na wystawności ponad skalę nieraz. Ale otwórz serce swoje gościowi, powitaj go szczerze — i racz go dawném: „Czém chata bogata, têm rada". — — — — — — —

Wystawa w przyjęciu studzi — oziębia — niweczy towarzyskie stósunki. Bo nie każdego stać na to, a rozsądny nie wynosi się ponad możność, i nie zechce bezpotrzebnie grosza zapracowanego wyrzucać na zbytki. Wystawne podejmowanie zraża, a co gorsza, upokarza tych, którzy tak występować nie mogą — albo przez oględność i nie chcą.

Żyć z sąsiadami jest prawem — nie oglądając się na ich zamożność, wykształcenie, stanowisko społeczne, i czyli pieczętują się herbem. Byle tylko zacne w nich uderzały serca. Winniśmy w domu naszym zarówno chętnie witać wszystkich, wszelkiego stanu i wyznania, wykształconych i mniéj wykształconych — jako braci jednéj matki — ziemi. I winniśmy do nich, do ich usposobienia i skali umysłowéj, zastósować rozmowę naszą i towarzyskie rozrywki. Zawsze pod tarczą dobréj woli.

Jest przysłowie wymyślone zapewne przez jakiegoś zgryźliwego śledziennika: „Gość i ryba dnia trzeciego, nie dają smaku miłego": ależ nawet i w takim razie należy i warto okupić odrobiną niesmaku miłość ludzką.

Sąsiedzkiéj zgodzie Bóg błogosławi. Przyjaźń sąsiedzka już nie jednemu przyniosła radę poczciwą i pomoc w złéj doli, gdy sobie na nią zasłużyć umiał. A przyjaźń taka i współczucie, zarówno płynąć może z pod lichéj strzechy, jako i z pałaców.

Uważajmy się wszyscy za jednę wielką osieroconą, prześladowaną, nieszczęśliwą rodzinę. Trzymajmy się za ręce — jakoby nie rozerwanym łańcuchem — pocieszajmy się nawzajem — kochajmy się! — a będziemy silni jednością i dobrą wiarą.

(Ciąg d. n.)

Jakaś ty cudna!

Jakaś ty cudna o dziewczę moje!...
Kiedy spłoszona mojém westchnieniem,
Obrócisz ku mnie oczęta swoje,
Lśniące szafiru jasnym promieniem.

Jakaś ty cudna dla duszy mojéj
Z temi różami na białéj buzi!...
Jak ów aniołek co w snach się roi,
Z skrzydły wiotkiemi jak puch papuzi.

Jakaś ty cudna w białéj sukience,
Z złotemi włoski kształtnych warkoczy,
Kiedy je dłonie twoje panience
Zaplotą ładnie w wianek uroczy.

Jakaś ty cudna!... w majowym ranku,
Gdy pląsasz pośród kwiatów ledziutko,
Śpiewając smętną pieśń o kochanku —
A potem cicho mówisz z stokrótką.

Jakaś ty cudna!... gdy umęczona
Na puchu miękkiéj, wonnéj pościeli,
Do snu swe białe kładziesz ramiona,
Niewinna — czysta, jak anioł w bieli.

Lecz najcudniejszą zdajesz się wtedy!...
Gdy rannym blaskiem zbudzona słońca,
Z sennéj podróży — smutna niekiedy —
Obok łóżeczka klękniesz modląca....

O cudnaś wtenczas moja dziewico!...
Z tą drobną w niebo wzniesioną dłonią,
Z tą pełną skruchy, modłów źrenicą,
I z pochyloną przed Bogiem skronią.

Zda mi się wtedy o moja droga,
Że nad twą główką z złotemi włosy,
Błogosławiącą widzę dłoń Boga,
I otworzone tobie niebiosy.

J. F. Stanko.

SYRENA.

(POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.)

(Ciąg dalszy.)

Drzwi się otworzyły — wszedł służący Antoni niosąc nowe danie.

— Gdzie pan? — spytała Irreoltema.

— Nie wiem, może w swoim pokoju, bo widziałem tam światło.

Irreoltema ze szklanką w ręku postąpiła ku téj stronie.

— Proszę jasnéj pani, czy to nie będzie za dużo tego lekarstwa, przed chwilą dopiero pan zażywał, a doktor kazał....

Resztę słów zamroziło mu w gardle spojrzenie Irreoltemy, spojrzenie to miało w sobie coś tak strasznego

że sługę zimny dreszcz przeszedł — spojrzenie było kłójące jak sztylet, a groźne jak gradowa chmura.

Postawiła szklankę na stole, odwróciła się pogardliwie i rzekła:

— Idź, poproś pana.

Służący wyszedł. W sieni spotkał pana, który go zatrzymał i stłumionym do niego odezwał się głosem:

— Weź ten list; przy końcu wieczerzy wejdziesz z nim i oddasz mi go — posłaniec z poczty go przywiózł — rozumiesz?

Antoni kiwnął głową i znacząco spojrzał na pana.

— Żadnych domysłów, ja tego nie lubię.

Rozeszli się. Edward poszedł do sali jadalnéj — Antoni do pokoiku, w którym zostawił starego żołnierza.

Żołnierz siedział nieruchomy z głową podpartą na obu dłoniach, szklannemi oczyma zapatrzony w płomień świecy. Na twarzy jego było znękanie, przygnębienie, obumarły spokój, w którym nie ma znaku nadziei.

Służący z cicha uchylił drzwi, czas jakiś w milczeniu przypatrywał się z głębokiém współczuciem kalece, potém zbliżył się ku niemu i całując go w rękę, rzekł ze łzami:

— Boże, czy ja się mogłem spodziewać, że was jeszcze kiedy moje oczy oglądać będą.

Żołnierz westchał ciężko.

— A ja znowu spodziewałem się oglądać ich i nic — nic nie zastałem po nich, żadnego śladu. O! to okropnie. Ostatek sił dobywałem, by się dowlec do nich, przed każdym kościołem, przed każdą figurą, przed każdym krzyżem przy drodze prosiłem Boga, by mi ich oglądać pozwolił zdrowych i przy życiu; radowałem się na tę chwilę, gdy jako żebrak wejdę w mój dom niepoznany i na kolędę przyniosę im wiadomość o sobie. Los zgotował mi inną niespodziankę.

Spuścił głowę na piersi i płakał.

— O! lepiéj mi było stokroć tam, z daleka. Myśl moja stęchniona wiedziała gdzie ich szukać; nadzieja, że ich ujrzę jeszcze, podtrzymywała mnie i nie pozwalała upaść w rozpacz. — Kiedy kirgiskie kule świszcząc mi koło uszów nie tknęły mojéj głowy, mówiłem sobie: to dla nich Bóg mnie ocala. Piętnaście lat przemęczyłem tak z dnia na dzień z tą nadzieją. Pierwszy wdrapywałem się na auły czerkieskie, syn narodu, co ukochał wolność nadewszystko, nastawałem na tych, którzy bronili swéj ojczyzny — a robiłem to jedynie w nadziei awansu, odznaczenia się, a wreszcie kalectwa, byle wrócić do kraju. I stało się to wreszcie. Z wiosną tego roku Kirgizy zrobili między górami napad na nasz oddział, w ciemnym wąwozie bronić się było niepodobna; pułkownik nakazał odwrót; ale podczas odwrotu syn jego padł ranny. Strzały i ogromne kamienie lecące z góry, groziły nieochybną śmiercią rannemu i temu, ktoby go uprowadzić zechciał. Pułkownik był w rozpaczy, sam draśnięty w nogę, nie mógł nieść pomocy synowi, a żołnierze mimo obietnic nie chcieli. Wtedy przyszła mi szalona myśl rzucić się na pewne niebezpieczeństwo, dziwna wiara, że nie zginę, popchnęła mnie naprzód. Rzuciłem się naoślep — chwyciłem rannego i uniosłem go z kilkadziesiąt kroków do miejsca, w którém już strzały Kirgizów nie mogły nas dosięgnąć. — Słyszałem głośne, radośne „hurra“ Moskalów, witających mój powrót, widziałem pułkownika wyciągającego ku mnie ręce — potém zamgliło mi się w oczach, osłabłem, uczułem ciepło w nodze i upadłem bez przytomności. — Przyszedłem do siebie dopiero w szpitalu — i bez nogi. — Pułkownik stał przy mojém łóżku wzruszony, gładził mnie po włosach i mówił:

— Ty teraz mój druch, tyś mi ocalił Iwanka mojego. Skaż, co ja dla ciebie mam zrobić. Ty będzież porucznikiem, będziesz miał chresty.

Wstrząsnąłem głową i powiedziałem:

— Wolności, powrotu do kraju.

I byłem wolny; jeszcze nie zupełnie wyleczyłem się, a już napierałem się, by mi pozwolono wracać. I wróciłem — i cóż ztąd?

— Nie mówcie tak panie — odrzekł Antoni. — Kogo Bóg tak szczęśliwie ocalił, ten musi być jeszcze potrzebnym na tym świecie. Kto wie, jakie was jeszcze szczęście czeka, Bóg jest wszechmocny. To mówiąc, wziął w rękę opłatek i podał go żołnierzowi.

— Życzę wam panie, by wam Bóg ziścił wasze nadzieje.

— Amen. I ja tobie również.

Antoni się uśmiechnął smutnie.

— Moja rodzina już w grobie, tam ja z nią pokładłem moje nadzieje.

Silne szarpnięcie dzwonka przerwało dalszą rozmowę. Antoni wyszedł — długi czas widać go nie było. Żołnierz chodził po pokoju, potém stanął przy oknie i zapatrzył się w ogród.

Światła zamigotały przed balkonem — zadzwoniły sanki — psy zaszczekały przy bramie.

— Co to jest? — spytał żołnierz wchodzącego sługę.

— Pan mój odjeżdża do Warszawy.

— Dziś? — teraz?

— A teraz. Dobry ten nasz pan, ale dziwak wielki. Szczególniéj od jakiegoś czasu zmienił się dziwnie. — Może i nie bez przyczyny, bo nie jest jakoś szczęśliwy w pożyciu małżeńskiém. Ot i cały sekret.

— Ma taką cudną żonę i kocha go.

— Wyście ją panie widzieli?

— Widziałem.

— I nie przestraszyła was piękność téj kobiety?

— Gdym patrzał na nią, pomyślałem sobie, że nie chciałbym, aby moja Paulinka była do méj podobną.

— A więc widzicie. Ja gdy patrzę na nią, to mi

się zdaje, że czart pożyczył sobie twarzy najpiękniejszego z aniołów, by wodzić ludzi na pokuszenie.

— Któż ona jest?

— Córka jakiejś Francuzicy, staréj guwernantki. Mój pan poznał ją na Jasnéj-Górze w kaplicy — tam ją widywał w żałobie po matce modlącą się często, rozgorzał ku niéj bardzo, i nie zważając na rady familii ożenił się, bo familja nie życzyła sobie tego związku. By więc uniknąć zajść nieprzyjemnych, wyjechał ze stron rodzinnych i kupił tę wieś, wybudował pałac i tu osiadł.

— Antoni — odezwał się głos w sieni.

Służący porwał z pośpiechem świecę i wyszedł z pokoju. —

Irreoltema i brat odprowadzali odjeżdżającego.

— Więc Edwardzie — odezwała się małżonka wsparta na jego ramieniu — nie wolno wiedzieć tajemnicy twojego odjazdu? —

— Mówię ci, moja droga, że tym listem wzywają mnie do Warszawy.

— Czy listu widzieć nie wolno?

— Dla czegoś go ciekawa?

— Bo on zawiera więcéj niż ty mi powiedziałeś.

— Być może, dowiesz się reszty za moim powrotem.

To mówiąc, wdziewał na siebie paltot.

W téj chwili Irreoltema rzuciła pułkownikowi jakiś niemy, rozkazujący znak.

Pułkownik kiwnął i odezwał się do brata:

— Edwardzie, ja jadę z tobą.

— O nie, proszę cię, zostań. Wszak dopiero przyjechałeś z Warszawy. Zostań. Żona moja nudziłaby się sama.

Głos jego był drzący, niepewny, ruchy roztargnione, gorączkowe, niespokojne. Mówiąc, nie patrzał w oczy bratu, czasem tylko na żonie zatrzymywał spojrzenie długie, badawcze.

— Kiedyż wrócisz? — spytała żona.

— Za kilka dni najdaléj. Bądź zdrowa; wróć do siebie, nie ziąb się. Pożegnał ją i wyszedł prędko do siebie. Irreoltema wróciła do salonu. Za chwilę wszedł pułkownik krokiem pospiesznym, twarz jego była ożywiona, oczy płonące. Poszedł wprost ku Irreoltemie i wziął ją za rękę.

— Przypadek dziwnie nam usłużył.

Odsunęła go gwałtownie i obejrzała się wokoło.

— On odjechał — rzekł Maurycy uspakajając ją.

— Dla tego, że widziałeś go wsiadającego w sanki. Dziecko z ciebie pułkowniku. Kto wie czy w téj chwili nie jesteśmy podsłuchiwani. Jego podejrzliwość nie przebiera w środkach — i bez wahania może wydać żonę na pastwę szeptów i podsłuchów lokajów.

— Więc nigdy chwili rozmowy? Przeczytaj pani przynajmniéj tę kartę.

— Nie chcę jéj. Zostań na swojém miejscu pułkowniku — mów do mnie po francusku — to jedyny parawan nasz. — Co mi miałeś powiedzieć?

— To, o czém już wiesz dawno, że cię kocham, że szaleję.

— Jestem żoną twego brata.

— A powinnaś być moją.

— W tém nie moja wina — opuściłeś mnie bez pożegnania nawet.

— Rozkaz wymarszu był nagły.

— Wkrótce potém zostałam sierotą bez utrzymania, w miasteczku, w którém prawie nikogo nie znałam, nędza zaczęła zaglądać do mego mieszkania, kryłam ją przed ludźmi resztkami szat pozostałych z lepszych czasów. Wtedy zjawił się Edward i ofiarował mi swoją rękę — czyż mogłam jeszcze czekać?

— Prawda, zawiniłem okropnie, konieczność tylko mnie tłómaczy. Wieść o waszém małżeństwie zastała mnie w Peterburgu — o, com ja wycierpiał wtedy! Potém dołożyłem wszelkich starań, aby być tu przeniesionym. I jestem — jestem blisko ciebie, a jest mi stokroć gorzéj. Irreoltemo! — dodał głosem rzewnym, błagalnym — powiedz, czy ty mnie kochasz?

— Jestem żoną twego brata....

Zerwał się z krzesła.

— Och! zawsze to samo. Czemu usta twoje nie chcą mi nigdy powiedzieć tego, co czytam w twoich oczach dla siebie. Powiedz czy oczy, czy usta twoje prawdę mówią? — Cóż i nic mi nie odpowiesz?

— Cóż mam mówić? Tego cobyś pan chciał usłyszeć, ja powiedzieć nie powinnam, a tego, co powinnam, nie chciałbyś pewnie usłyszeć, jestto fatalne, zaklęte koło, z którego wyplątać nas może jedynie przypadek.

— Albo wola. Możesz podać o rozwód.

— Nie znasz go — onby wprzód zabił mnie i ciebie zanimby na to pozwolił. — A przytém jakież powody do rozwodu?

— Więc nie ma wyjścia? Więc chcesz uwiędnąć tutaj otoczona zapyloną siecią jego podejrzeń i zazdrości, chcesz przeżyć najpiękniejsze lata twojéj młodości w tym zakącie, w téj pustyni?

Przygryzła wargi, załamała palce i patrząc w. ziemię, milczała.

— I nic nie odpowiadasz?

— Cicho! słyszę skrzyp śniegu, ktoś podchodzi pod okno — wyszeptała z naciskiem; potém zmieniła ton mowy i poczęła obojętną rozmowę.

II.

Śledztwo za winnym.

Na drugi dzień przed bramą pałacową stał żołnierz i lokaj Antoni. Żołnierz miał znowu jak wczoraj tobołek

na plecach i kij w ręku, był gotowy do drogi. Służący usiłował go zatrzymać.

— Choć przez te dwa święta zostań pan z nami.

— Nie mogę, nie chcę, tu mi gorzéj niż gdzieindziéj; — tu gdzie się ruszę, wszystko przypomina mi moje nieszczęście, każde stąpnienie tutaj boli mnie i kłuje jak kolący oset.

— I gdzież pan pójdziesz?

— Pójdę w świat żebraniną od dworu do dworu, od miasteczka do miasteczka — ku Warszawie — wszędzie, może ich odszukam. Moja włóczęga będzie mi się wydawać podróżą do nich — będę więc szedł ciągle, ciągle, aż dojdę do nich lub do śmierci.

— Przyjmijcie panie choć ten skromny datek na na drogę — rzekł służący, nieśmiało podając mu węzełek.

— Przyjmę, przyjmę, wszak ja żebrak teraz, mnie gardzić nie wolno jałmużną, zwłaszcza z takiém sercem podaną. Może Bóg pozwoli, że się zejdziemy jeszcze w życiu, że ci spłacę tę jałmużnę kieszenią i sercem. Jeżeli znajdę moich, przyjdziemy tutaj pomodlić się pod tą kapliczką jak dawniéj i podziękować tobie. Ale słuchaj mnie Antoni, czy ta jałmużna nie robi tobie uszczerbku?

Służący ruszył ramionami.

— Panie, tę odrobinę zebrałem dla mojéj rodziny. Rodzina teraz w grobie — ja sam.

— Więc Bóg zapłać za to. Idę już — dzwony na kościelnéj wieży zwołują lud na sumę, pójdę, pomodlę się jeszcze — a potém w drogę.

Uścisnął sługę i stukając szczudłem o kamienie, pociągnął ku kościołowi. Antoni patrzał za nim długo — długo; wreszcie łzy zasłoniły mu przed oczami odchodzącego żołnierza, otarł je rękawem i smutny powolnym krokiem wracał do pałacu.

— Pani was wołała — rzekł wybiegając ku niemu chłopiec z kredensu.

Antoni przyspieszył kroku i wszedł do sali, po któréj żywym krokiem chodziła Irreoltema w czarnéj aksamitnéj sukni, od któréj cudnie odbijały alabastry jéj ramion i szyi. Włosy w lekkie skręty zafryzowane z przodu nieco na czoło nasunięte, przewiązane były sznurkiem korali, przy białych uszach kołysały się również koralowe kolczyki, podobne kształtem do spadających kropli krwi. — Służący wszedłszy do pokoju, stanął przy drzwiach i czekał. — Irreoltema zdawała się nie uważać jego przyjścia — chodziła ciągle po sali zamyślona — zwierciadło zwierciadłu podawało jéj wyniosłą, giętką postać; czoło miała lekko sfałdowane między czarnemi brwiami, wzrok w téj chwili posępny.

— Jasna pani mnie wołała? — odezwał się sługa po chwili.

— A, jesteś? Słuchaj, czy stróż nocny nie czuwa już więcéj w ogrodzie?

— Owszem, każdéj nocy.

— Pod oknami salonu i pod mojemi oknami są w śniegu wydeptane stopy ludzkie, widocznie jakiś zły człowiek podkrada się do pałacu. Potrzeba, aby stróż lepiej czuwał; jeżeli potrzeba, dać mu ludzi do pomocy.

Służący się skłonił.

— Idź i poproś pana pułkownika do śniadania.

Po odejściu służącego, stanęła przed zwierciadłem — przejrzała się w niém od stóp do głowy, poprawiła włosów i weszła do jadalnego pokoju, gdzie na nią już czekał pułkownik. Usiedli przy małym stoliku, na którym błyszczała elegancka zastawa do herbaty. Irreoltema nalewała herbatę, pułkownik pożerał oczami jéj piękność.

— O! jakaś ty piękna!...

Dotknął się ustami jéj ręki, w któréj trzymała czajnik.

— Sparzysz się pan.

— Chyba od blasku twoich oczów.

— Zamykam je więc.

To mówiąc, zakryła różowemi powiekami brylantowe ócz swoich połyski i stała tak chwilkę jak posąg bez oczów, uśmiechnięta lekkim uśmiechem, od którego drżały jéj wargi.

Pułkownikowi krew uderzyła do twarzy, zerwał się, przyskoczył ku niéj i objął ramieniem jéj kibić. Odtrąciła go, odrzuciła w tył z gwałtownością, jakiéj się nie spodziewal, wyprostowała się dumnie, oczy jéj rzucały pioruny.

— Co to ma znaczyć, pułkowniku?

Słowa i wzrok targnęły jak cugle rozszalałego konia, pułkownik z porywczego, namiętnego, stał się nieśmiałym, zawstydzonym.

— Przebacz Irreoltemo, to zapomnienie; nie jam temu winien, ale twoja piękność, która mnie do rozpaczy przywodzi.

— Usiądźmy do herbaty.

Usiedli — przez chwilę panowało milczenie, które przerwał pułkownik.

— Czy pani jesteś obrażoną na mnie?

— Powinnabym.

— Ale nie jesteś — o dobra, anielska.

I wyciągnął ku niéj rękę.

— Siedź pan spokojnie.

— Pozwól się przeprosić — nalegał pułkownik podnosząc się z krzesła — i patrząc w nią modlitewnie, błagalnie. Nachylając się ku niéj, potrącił o stolik i wywrócił go na ziemię z całą zastawą. To go zmieszało.

W téj chwili wszedł służący i ponuro zpod oka spojrzał na tę scenę.

— Niezgrabnym jesteś pułkowniku — rzekła Irreoltema gniewnie, niecierpliwie. — Antoni, nakryj przy wielkim stole.

Służący pozbierał czerepy filiżanek i wynosił z pokoju.

— Kompromitujesz mnie pułkowniku, nawet w oczach służących — rzekła cicho ale z naciskiem Irreoltema.— Czy widziałeś wzrok tego sługi, wyglądał jak szpieg. On się chce czegoś domyślać, a Edward nie wiele sobie robi skrupułu w tym względzie i każdemu donosicielowi chętne ucho poda. Potrzeba nam się strzedz tego człowieka.

— Albo ująć go.

— Przedewszystkiem pułkowniku szanuj mój spokój. Unikaj mnie.

— Takiéj tylko drobnostki wymagasz — rzekł pułkownik z gorzkim, ironicznym uśmiechem. — Może będziesz żądać bym wyjechał, bym cię zupełnie nie widział?

— Może to byłoby najlepiéj dla mnie i dla ciebie, żebyśmy się nigdy w życiu nie zeszli — odrzekła poważnie, smutno, chowając twarz w dłonie.

(Ciąg d. nast.)

Z PRZYRODY.

Oko i widzenie

odczyt publiczny Dr. *Lucyana Rydla.*
Docenta okulistyki w Uniw. Jagiell.

(Dokończenie.)

Trzecią z porządku błoną jest znana nam już siatkówka, która jest rozpostarciem nerwu wzrokowego czułém na światło, na którém rysują się jakby na płycie fotograficznéj obrazy przedmiotów zewnętrznych. — Poznaliśmy więc błony oka, a wiemy, że one ograniczają mniéj-więcéj kulisty przestwór, wypełniony płynnemi i na pół stałemi częściami. Pozostaje nam jeszcze poznać te części.

Przestwór między rogówką a tęczówką, zwany przodkową komórką oka, wypełniony jest płynem wodojasnym, czystym jak łza. Płyn ten zowiemy cieczą wodną. Tuż za tęczówką mieści się tak zwana soczewka Jest to stałe ale miękkie i sprężyste ciało, tak przezroczyste jak najczyściejszy kryształ. Soczewki nie trzeba sobie wyobrażać jako jednolitéj bryły. I owszem składa się ona z mnóstwa warstw ułożonych współśrodkowo. Powierzchowne warstwy są bardzo miękkie, a im bliżéj środka, tém twardsze napotykamy warstwy. Téj to warstwowéj budowie zawdzięcza soczewka nadzwyczajną sprężystość, któréj wielkie znaczenie poznamy późniéj. Przeznaczeniem soczewki jest załamywanie promieni światła, tak, żeby się łączyły na siatkówce i tworzyły obrazy przedmiotów, od których pochodzą. W późniejszym wieku utraca niekiedy soczewka swą przezroczystość i staje się szarą. Tę utratę przezroczystości soczewki zowiemy z a ć m ą czyli k a t a r a k t ą szarą, ponieważ źrenica zazwyczaj czarna, przedstawia nam się w takim razie w barwie szaréj. Szara katarakta nie jest to więc błona lub plewka nowo powstała jak sobie zazwyczaj wyobrażają, ale ściemnienie soczewki, która w oku zdrowém jest zupełnie przezroczystą. Oko dotknięte szarą kataraktą, traci wzrok, albowiem ściemniona soczewka za mało przepuszcza światła, żeby na siatkówce powstawać mogły obrazy przedmiotów zewnętrznych. Zapomocą operacyi możemy wydobyć z oka ściemnioną soczewkę i przywrócić wzrok. Ale ponieważ po usunięciu soczewki z oka łamanie światła stać się musi niedostatecznem, potrzebują więc osoby, którymby zdjęto a raczéj wyjęto kataraktę do dokładnego widzenia, np. czytanie, pisanie, szycie itp. okularów, któreby zastępowały soczewkę w łamaniu światła. Duży przestwór poza soczewką wypełnia tak zwane ciało szklane, istota również przezroczysta, na pół płynna, podobna do białka.

Poznawszy budowę oka, zastanówmy się jeszcze pokrótce nad widzeniem.

Powiedziałem na wstępie tego wykładu, że w każdéj sprawie zmysłowéj mają udział trzy czynniki, mianowicie podnieta zmysłowa, narzędzie zmysłowe i dusza. Ażebyśmy poznawać mogli za pomocą wzroku byt, wielkość, postać i barwy przedmiotów świata zewnętrznego, potrzeba, aby właściwa podnieta zmysłowa, tj. światło, pochodzące od przedmiotów, które mają być widziane, utworzyło przy pomocy narzędzia wzroku, tj. oka obrazy tych przedmiotów na siatkówce, aby sprawione w ten sposób pobudzenie siatkówki dotarło za pomocą nerwu wzrokowego do mózgu i doszło do wiadomości duszy. Że dwa naprzód wymienione czynniki niezbędnemi są warunkami widzenia, wykazałem w ciągu tego wykładu, że bez trzeciego, tj. bez współudziału duszy obejść się nie może, wynika poprostu z tego, że obrazów rzuconych na siatkówkę od przedmiotów zewnętrznych nie widzimy, jeśli uwaga nasza czém inném mocno jest zajęta, lub gdy utracimy przytomność, jak np. we śnie, lub w stanie zemdlenia.

Sposób, w jaki pobudzenie siatkówki, przeniesione za pomocą nerwu wzrokowego do mózgu staje się dla duszy wiadomém, jest dla nas dotąd niepojętym, nie będziemy się też nad nim zastanawiali. Natomiast pozwolę sobie powiedzieć jeszcze kilkoma słowy, w jaki sposób staje się zadość dwom pierwszym warunkom widzenia.

Jeżeli oko zwrócone jest swojém okienkiem, tj. rogówką na jaki przedmiot sam przez się świecący lub oświetlony, to od każdéj cząstki tego przedmiotu pada na rogówkę pęk czyli stożek promieni światła. W ten sposób powstanie na siatkówce, zupełnie tak samo jak na płycie fotograficznéj, umieszczonéj na tylnéj ścianie ciemni optycznéj odwrotny i zmniejszony obraz. Obraz

tem jest właściwym przedmiotem widzenia; a mimo, iż jest odwrotnym, nie widzimy przecież przedmiotów odwrotnie, lecz w rzeczywistém położeniu. Nie mogę się tutaj wdawać w obszerniejsze tłumaczenie tego zjawiska, powiem tylko w ogólności, że na mocy prawidła optycznego widzimy każdą część przedmiotu w tym kierunku, w którym dochodzą od niéj promienie do oka naszego. Na mocy tego samego prawidła widzimy w zwierciadle przedmioty tak, jakby się znajdowały za zwierciadłem. Codzienne doświadczenie uczy nas, że to złudzenie, bo przedmioty są przed zwierciadłem, a przecież zawsze ulegamy temu złudzeniu, bo promienie, odbite od zwierciadła, tak wpadają do oka naszego, jakby pochodziły od przedmiotów, znajdujących się za zwierciadłem.

Skoro już mowa o obrazach rzuconych na siatkówkę przez przedmioty zewnętrzne, to może nie od rzeczy będzie wspomnieć nawiasem o rozpowszechnioném mniemaniu: „że na siatkówce osób zamordowanych pozostaje jakby odfotografowana postać mordercy". Z powodu morderstwa, które przed kilku tygodniami przeraziło miasto nasze, zapytywało mnie samego kilka osób, czy też u zamordowanéj nie znaleziono w oku wizerunku mordercy, i czy się to w ogóle zdarza?

Nie wiem co mogło dać powód do takiego mniemania, które, o ile sobie przypominam, dostało się do nas przed kilku laty z Ameryki, ale z żalem powiedzieć muszę, że mniemanie to nie ma najmniejszej podstawy, jak tego dowiodły liczne poszukiwania. Zresztą z góry już można było przewidywać, że mniemanie to jest bezzasadném, albowiem siatkówka nie jest przyrządzoną chemicznie, nie ma więc warunków, żeby obrazy rzucone na nią utrwalić się mogły skutkiem zmian chemicznych przez światło sprawionych, jak się to dzieje na płycie fotograficznéj.

Pod względem dokładności widzenia nie jest bynajmniéj rzeczą obojętną, na którą część siatkówki padną obrazy przedmiotów zewnętrznych. Chcąc jaki przedmiot zobaczyć, ile możności najdokładniéj musimy się w niego wpatrywać, to jest oko tak zwrócić, żeby obraz tego przedmiotu padł na środkową część siatkówki, zwaną plamką żółtą, a położoną naprzeciw środkowéj rogówki. Pochodzi to ztąd, że ta część siatkówki wyposażona jest największą wrażliwością oczu na światło, a obrazy padające na nią najdłużéj są narysowane. Przedmioty z boku położone, których obrazy padają zatém na boczne części siatkówki, widzimy tém mniéj wyraźnie im więcéj oddalone są te części od środka siatkówki. Różnica w dokładności widzenia tak szybko się wzmaga, iż nie poznajemy np. głosek dużego nawet druku, jeżeli ich obrazy padają na siatkówkę w oddaleniu tylko 1''' od plamki żółtéj. Dlatego też czytając przebiegamy wzrokiem wzdłuż wierszów, żeby obrazy pojedyńczych głosek padały kolejno na plamkę żółtą.

Podczas gdy ostry obraz przedmiotu, który chcemy dokładnie widzieć, pada na plamkę żółtą, rysują się obrazy innych, otaczających nas przedmiotów na bocznych częściach siatkówki tém mniéj wyraźnie, im daléj ku obwodowi siatkówki padają. Pole widzenia, to jest ta część otaczającego nas świata zewnętrznego, którą nieporuszonemi oczyma naraz widzimy, przyrównać więc można do malowidła, wykończonego tylko w środkowéj części, a tém grubiéj naszkicowanego im daléj od środka.

Abyśmy widzieć mogli jaki przedmiot dokładnie, nie dość jest zwrócić tak oko, żeby obraz tego przedmiotu padł na najczulszą część siatkówki, na tak zwaną plamkę żółtą. Potrzeba jeszcze, żeby obraz ten był ile możności wyraźnie narysowany, a warunkowi temu stanie się wtenczas zadość, gdy promienie, które pochodzą od jednego punktu przedmiotu połączą się znów ściśle w jednym punkcie siatkówki.

Rogówka, soczewka i ciecz wodna razem wzięte tworzą narząd łamiący światło w ten sam sposób jak każda soczewka wypukła, skupiająca światło. Każda taka soczewka tworzy obrazy przedmiotów dalekich w mniejszéj, obrazy zaś przedmiotow bliskich w większéj odległości, a mianowicie w tém większéj im bardziéj do soczewki zbliżonym jest przedmiot. Ponieważ zaś siatkówka, na któréj rysować się mają obrazy przedmiotów widzenia, znajduje się w niezmiernéj odległości od soczewki, nie mogą więc utworzyć się na niéj równocześnie wyraźne obrazy przedmiotów bliskich i dalekich, bo gdyby obrazy przedmiotów dalekich padły własnie na siatkówkę, to obrazy przedmiotów bliskich utworzyćby się mogły dopiero za nią; gdyby zaś siatkówka znajdowała się w takiéj odległości, w jakiéj się tworzą obrazy przedmiotów bliskich, to obrazy przedmiotów dalekich przypaśćby musiały przed nią. Z tego wynika, że nie możemy równocześnie widzieć dokładnie przedmiotów bliskich i dalekich, a nie moglibyśmy ich widzieć nawet po kolei dokładnie, gdyby nie było jakiegoś umyślnego urządzenia w naszém oku, któreby sprawiało, żeby w miarę potrzeby padały na siatkówkę wyraźne obrazy przedmiotów, znajdujących się w różnych odległościach. Że równocześnie nie możemy widzieć dokładnie przedmiotów położonych w różnych odległościach, łatwo się można przekonać. Jeżeli trzymamy na kilka cali przed okiem wual a na kilkanaście inny jaki przedmiot, np. ołówek, to nie możemy równocześnie widzieć wyraźnie ołówka i pojedyńczych nitek tkaniny wualu, ale widząc wyraźnie ołówek nie rozeznajemy nitek wualu i na odwrót. Ale jeżeli nie możemy widzieć równocześnie dokładnie przedmiotów znajdujących się w różnych odległościach, to wiadomo przecież każdemu, że możemy po kolei widzieć wyraźnie

przedmioty oddalone na kilka lub kilkanaście cali, to znów na kilkaset lub kilka tysięcy sążni a właściwie nawet przedmioty położone w nieskończonéj odległości. Zdolność tę zawdzięczamy urządzeniu, za pomocą którego mogą w miarę zachodzącéj potrzeby tworzyć się na siatkówce wyraźne obrazy przedmiotów znajdujących się w różnych odległościach. Jest to tak zwana władza akomodacyjna, czyli zdolność stosowania oka do odległości. Długo kusiła się nauka nadaremnie o wytłómaczenie na czémby właściwie polegała ta zdolność, aż wreszcie za naszych już czasów poznano, że ona polega na zdolności zmieniania krzywizny czyli wypukłości soczewki. W miarę zbliżania się przedmiotu do oka zwiększa się wypukłość soczewki, posiadającéj, jak wiemy, znakomitą sprężystość, skutkiem tego zwiększa się zaś jéj siła łamiąca tak, iż obrazy, któreby bez tego zwiększenia wypukłości utworzyły się dopiéro za siatkówką, przypadają na nią.

Pominąwszy więc bardzo ważne względy, w których przytaczanie nie mogę się tutaj wdawać, wymaga już potrzeba wpatrywania się w przedmiot, który chcemy dokładnie widzieć, żeby oko nasze było ruchomém, gdyż byłoby to bardzo uciążliwém zwracać każdym razem tak całą głowę, żeby obraz tego przedmiotu mógł paść na plamkę żółtą. Potrzebie téj czyni zadość sześć mięśni czyli muszkułów, za pomocą których może się oko, nie zmieniając swego położenia, zataczać tak około swojego środka czyli obracać, iż środek rogówki zwraca się w miarę potrzeby nie tylko w 4ch głównych kierunkach, tj. ku górze, ku dołowi, na prawo, na lewo, ale i w różnych pośrednich kierunkach.

Na tém kończę wiadomości o budowie oka i widzeniu. Jest to w najogólniejszych tylko zarysach rzucony szkic pojedyńczych nabytków nauki, na której zdobycie składała się mozolna praca, podejmowana w ciągu wieków przez liczny zastęp badaczów, częstokroć z wysiłkiem całéj bystrości rozumu ludzkiego. Szczegółowe przedstawienie a tém bardziéj zupełne wyczerpnięcie przedmiotu, gdyby nawet nie wymagało długiego szeregu wykładów, nie mogło być moim zamiarem już ze względu, że zająć ono może tylko ludzi oddających się szczególowo téj nauce. Danie ogólnego wyobrażenia o budowie narzędzia i czynności najszlachetniejszego ze wszystkich zmysłów było głównym celem tego wykładu. Ale byłbym prawdziwie szczęśliwym, gdyby mi się było udało utwierdzić zarazem szanowne Zgromadzenie w przekonaniu o pożyteczności, przedewszystkiém zaś o zacności nauk przyrodniczych w ogólności. Pierwsza, t. j. pożyteczność nauk przyrodniczych, dobiła się już jednogłośnego uznania. I któż mógłby jéj zaprzeczyć w obec olbrzymiego postępu naszego wieku z wszystkiemi jego wynalazkami i odkryciami, które jakby w zawody ubiegają się o to, aby uprzyjemnić nam to życie i otoczyć nas wszelkiego rodzaju wygodami. Nierzadko natomiast spotkać się można jeszcze niestety z wyrokiem potępiającym nauki przyrodnicze o pogrążanie ludzkości w kałużę brudnego materjalizmu. A jednakże nic bardziéj niesprawiedliwego, nic więcéj krzywdzącego nad taki wyrok!

Z jednego drzewa krzyż i łopata, mówi przysłowie nasze! Płytkie i niedowarzone umysły, które się prześliznęły po saméj tylko powierzchni niezgruntowanéj głębi nauk przyrodniczych, wbijają się wprawdzie niekiedy w zarozumienie, a dostawszy niebiezpiecznego zawrotu głowy błąkają się po manowcach. Ale w istocie nic nie prowadzi tak bezpośrednio do poznania wielkości Boga, nic tak nie uzacnia, nie uszlachetnia i nie podnosi umysłu ludzkiego jak badanie przyrody. Cóż bowiem lepiéj może dać poznać człowiekowi granice, wytknięte jego rozumowi, i zmusić go do uchylenia kornego czoła, jak nadaremne częstokroć usiłowania zdarcia téj zasłony, która pokrywa tajemnice przyrody? cóż go może więcéj uzacnić i uszlachetnić jak poznawanie odwiecznéj woli Stwórcy, objawiającéj się w dziełach przyrody, w obec których najdoskonalsze nawet dzieła ludzkie wydają się utworami najlichszego partacza? cóż wreszcie podnieść może bardziéj umysł ludzki jak badanie tych wielkich, niespożytych sił przyrody, działających wszędzie podług tych samych, niezmiennych praw, czy one zmuszają olbrzymie ciała niebieskie krążyć po wytkniętych im od wieków torach, czy też sprowadzają fale eteru świetlnego po ścieżce promienia do naszéj siatkówki.

OBRAZY I OBRAZKI

z tatrzańskiéj wycieczki.

(CZĘŚĆ DRUGA.)

(Ciąg dalszy.)

Śmieszna ta przygoda rozpędziła zupełnie moje niepokoje — zasnąłem mocno i bardzo późno obudziłem się nazajutrz. Jeszcze jakiś czas rozkoszowałem się w miłym półśnie z przymkniętemi oczyma, kiedy usłyszałem skrzyp otwieranéj skrzyni, która stała obok mego łóżka. Otworzyłem oczy i zobaczyłem Tereskę wyjmującą ze skrzyni ubranie świąteczne.

— O! rety, obudziłam was może?

— A która godzina?

— Nie wiem, ale już słonko piecze mocno i ludzie z pierwszéj mszy wracają. Trzeba i mnie łachy (ubranie) wyjąć i ogarnąć się trochę.

To mówiąc, rozkładała na ławie swoje świąteczne stroje z pewnym rodzajem przechwałki.

— A nie będzie wam to gawędzić, że się tutaj przyodzieję, bo tam u nas w piekarni nie ma nijakiego przezieradła.

— Owszem, owszem, strój się Teresko, tylko żebyś mi wyglądała tak ładnie jak dawniéj.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem; widocznie wiele rachowała na swój ubiór. Ubiór bowiem u górali stanowi konieczny warunek piękności, i gdyby młodéj dziewczynie dano do wyboru urodę lub piękne szaty, z pewnością to ostatnieby obrała, wiedząc, że tém najwięcéj pociągnie chłopców za sobą i spodoba się. Górale nazywają taką strojną „szumną dziopą" i chętniéj gonią za taką spojrzenia wypomadowanych dandysów góralskich, niż za inną „chudą, (biedną) i płoną" (wątłą) chodźby urodziwą. Podobnież uważałem przy tańcu nie tyle patrzą na urodę, ile na biegłość w tańcu i nieraz zdarzało się widzieć młode i ładne góralki, stojące nieśmiało po kątach karczmy w cieniu, podczas gdy stare i ospowate kręcą się do upadłego po izbie z młodymi parobkami.

— I czemuż tak? — spytałem raz jednego górala.

— Bo to panie tanecznica co się zowie, b o c z k u j e (kręci się bokiem koło tancerza) jak mało która, a przed dwudziestu laty to panoczku fraszka jéj było i na stół w tańcu wyskoczyć równemi nogami.

Ruszyłem na to ramionami. Prawda, że i nas po miastach widzieć się zdarza nieraz takie archeologiczne zabytki, puszczające się w zawody choreograficzne z własnemi córkami, ale podobne egzemplarze, jeżeli są u nas tolerowane, to jednak wątpię, aby miały być poszukiwane. Tu znowu przeciwnie — góral bowiem tańczy nie tyle dla zabawy, ile dla popisu, a dobra tanecznica pomaga mu do tryumfu, ceni ją z tańca, urodę stawiając na ostatnim planie.

Komuby się to dziwném i nieprawdopodobném wydawało, niech zajrzy podczas jarmarku lub odpustu jakiego między budy, w których sprzedają obrazy świętych, a proszę się przypatrzyć do jakich obrazów lud najwięcéj się ciśnie, jakie mają największy pokup? Piękne sztychy ze znakomitych obrazów wcale nie nęcą oczów patrzących, a bohomazy o bezkształtnych cielskach i wykrzywionych twarzach są oblężone przez kupujących dla jaskrawych kolorów sukien paćkanych olejną farbą lub farbowanym woskiem. Gust ludu pod tym względem jest na stopie niemowlęctwa, które do blasku i barwy wyciąga rączki, ale nie ma jeszcze wcale poczucia rysunku, proporcyi i szlachetności linij itd. — U niego rumieniec na twarzy więcéj znaczy niż najcudniejszy profil bladéj twarzyczki.

Nie dziw więc, że Tereska miała nadzieję spodobania mi się, obfitowała bowiem w to wszystko, co stanowi wdzięk kobiety: w ładne ubranie i twarz rumianą, a raczéj ogorzałą. Ubranie jéj nie było już czysto góralskie; wielkie elegantki i zamożniejsze gospodynie szczególniéj kołodziejki, wójtowe ubierają się z k r a k o w s k a. Zamiast kerpców lub żółtych bucików na na wązkich, wysokich korkach, kładą trzewiki czarne, które jednak nie zakrywając kostki, wcale się do zgrabności nogi nie przyczyniają; — głowę upinają w białą suto haftowaną chustkę, związaną podług k r a k o w s k i é j m o d y, podczas gdy inne góralki używają chustek kolorowych, najczęściéj czerwonych i żółtych, i wiążą je pod szyją w ten sam sposób, jak u nas pokojówki podczas zamiatania pokojów. Przy krakowskiém ubraniu zwykle i gorset bywa pokaźny, z adamaszku lub manszestru, a przykrywają go nie rańtuchem, ale jedwabną lub lekką wełnianą chustką. Takie ubranie, jak powiedziałem, jest najwykwintniejszém i używa go świat wyższy, arystokracja góralska. W taki strój ubierała się Tereska. Z zadziwieniem przypatrywałem się jak rozpromieniona i zadowolona z mnogości swych strojów kładła na siebie bez liku spodnice różnych kolorów, przez co jéj zgrabna dość figurka pęczniała i grubniała w niekształtne rozmiary.

— Ależ moja kochana, jakże się ty będziesz ruszać w takiéj mnogości spodnic przy dzisiejszém gorącu?

— O, panoczku, ja ich mam jeszcze więcéj, ale nie wszystkie poprane na dzisiaj.

— Ale czemuż wszystkie kładziesz?

— Bo u nas taka m o d a.

Nie miałem co na to odpowiedzieć; przeciw takiéj odpowiedzi nie ma argumentów. Moda czy to w mieście czy na wsi, nie podlega wcale względom estetycznym, hygienicznym, ani nawet estetycznym; dla niéj skrawki, tasiemki, wstążki, ząbki wiszące jak strzępy koło sukien nie są wcale śmiesznością, małe kokardki zastępujące miejsce kapeluszy i osłaniające ledwie środek głowy, nie są wcale niezdrowe — a obnażone ramiona nie obrażają jéj moralności. Moda ma swój osobny kodeks. — Nie odpowiedziałem więc nic Teresce, ale przyznam się, że mi się więcéj podobała, gdy w zgrzebnej koszuli i wązkiéj spodniczce szła w dzień powszedni z konewką po wodę, mając głowę zawiązaną w kolorową chustkę, zpod któréj wymykały się nieczesane włosy, niż w téj modnéj paradzie, upstrzona kolorami, wykrochmalona, wydęta jak balonik. Na tę mnogość kolorowych spodnic włożyła jeszcze jedną białą przejrzystą muszlinkową; na to przypasała fartuch z téj saméj materyi tak szeroki, że prawie tworzył znowu jedną spodnicę; koszulę białą perkalową z dużym haftowanym kołnierzem, która zakrywała spodnią dłuższą i mniéj delikatną, ścisnęła czarnym manszestrowym gorsetem, szyję obciążyła kilkoma sznurkami grubych korali, na ramiona narzuciła chustkę pod jedwabną w papuzie malowaną kolory — na palce mosiężne pierścionki, naśladujące szmaragdy i rubiny; koło jednéj ręki owinęła koronkę, w drugą wzięła dużą książkę do nabożeństwa i tak ustrojona stanęła prze-

demną. Dziecinna radość i próżność malowała się na jéj twarzy, nie chciałem krytyką ostrą ścierać tego malowidła i nawet zdobyłem się na powiedzenie jéj jakiegoś komplementu. — Uradowana przejrzała się w zwierciedle, przeżegnała się święconą wodą u drzwi i poszła.

Niezadługo i ja wstałem i wyszedłem przed chatę. Wszędzie panowała uroczysta, świąteczna cisza; sine góry, błękit i zielona ziemia zdawało się, że także obchodzą święto i ustroiły się jak mogły najpiękniéj; drzwi chat były zaparte i milczące, a drogą snuły się pstre gromadki ludzi w jednę stronę; od kościoła zalatywał głos dzwonów wzywających na nabożeństwo. Cała natura zdawała się w milczeniu przysłuchiwać tym głosom z kościoła, żaden powiew wiatru nie zakołysał gajem brzozowym, nie zaszeleścił w drobnych listkach — i ludzie i natura odpoczywali i modlili się. Przypomniało mi to słowa piosenki Uhlanda:

Dzień Pański święci się —
Ja tylko jeden wśród tych niw,
Dzwon gdzieś zadzwonił ranny śpiew....
Znów cicho wkoło mnie.

Usta pacierzem drżą —
I mnie tak błogo, mnie się zda,
Że tu aniołów klęczą sta,
I modły ze mną ślą.

Błękit wokoło mnie
Uroczy, czysty, jakby mi
Roztworzyć chciał do nieba drzwi —
Dzień Pański święci się.

Powtarzając piosnkę niby modlitwę, wszedłem powolnym krokiem pod wzorzysty cień gaju brzozowego. Wązka ścieszka wiła się kręto między białemi pniami drzew, po brzegach jéj srebrzyły się liście podbiału i pachniała macierzanka, nad któréj różowemi krzaczkami brzęczały i błyskały szklącemi skrzydełkami drobne owady. W głębi lasku parę krów klekotało blaszanemi dzwonkami i jakaś dziewczyna osłonięta od słońca potarganą chustką, pilnowała ich siedząc na krawędzi gaju. Zbliżyłem się ku niéj — była to Franka. Patrzała na drogę, po któréj snuli się ludzie ku kościołowi, i była tak mocno zajęta patrzeniem czy téż zamyśleniem, że nie słyszała moich kroków.

— Kogóż tak upatrujesz? spytałem.

Poruszyła się i zwróciła ku mnie spojrzenie machinalne, bezmyślne. Oczy jéj w téj chwili podobne były do dwóch spętanych jaskółek, które usiłują podlecieć w górę, a nie mogą; — tak zaduma spętała je.

— O czém się tak zamyśliłaś?

— O czém? powtórzyła przeciągle; przetarła oczy, jak człowiek, co się ze snu budzi, otrząsnęła się i rzekła:

— Bóg wie o czém myślałam. Zwykle we święto, kiedy mnie nikt nie pędzi do roboty, kiedy mogę posiedzieć sama nad gwarną wodą — to dziwne rzeczy łażą mi po głowie; jakieś zaklęte pałace, brylantowe drzewa, skrzynie pełne złota i korali i Bóg wie co. Zdaje mi się, że to wszystko wyraźnie widzę przed sobą, i tak patrzę — patrzę i dobrze mi wtedy.

Twarz jéj zwykle dzika i zachmurzona, miała w téj chwili wyraz dziecinnego rozmarzenia; była tak niepodobną do téj Franki, którą wczoraj spotkałem pod stodołą, że bałem się przypomnieć jéj to spotkanie, choć ciekawość namawiała mnie do tego.

— A do kościoła to nie pójdziesz dzisiaj?

Zposępniała i odrzekła krótko:

— Nie.

— Czemu? Czy to prawda, że ty nigdy nie chodzisz do kościoła?

— Pewnie wam ta szelma mniszka o tém gadała. Dobrze jéj chodzić do kościoła w jedwabiach i pysznić się przed ludźmi; ale ja po co tam pójdę — w czém? Chyba w tych strzępach dziadowskich, na pośmiewisko ludzkie.

To mówiąc chwyciła gwałtownie kawał podartéj koszuli i odsłoniła obnażone ciało.

— O! nie doczekanie ich — mówiła daléj — żeby mi mieli palcami wytykać moje łachmany. Ale będę i ja miała szumne odzienie — niedługo zobaczycie.

— Zkąd?

Zmięszała się i pobladła.

— O tak sobie plotę na wiatr — może téż Bóg ulituje się mojéj biedy i da.

— Byleby nie zły człowiek dał — rzekłem z przyciskiem patrząc jéj bystro w oczy. — Franka, kto był ten człowiek, z którym wczoraj rozmawiałaś nad rzeką?

— Czyście wy ksiądz, żebym się wam spowiadać miała?

— On z bandy Matei — co?

Nie słuchała mnie — twarz jéj w téj chwili zmieniła się z pomięszania w ciekawość; wyglądała jak koza, gdy wśród skał stanie, wyciągnie szyję, nozdrzami chwyta powietrze i nasłuchuje.

— Słyszycie, słyszycie g ę ś l e (skrzypki) — to wesele Jagi Skulimownéj. O! jakie szumne, widać ich już tam za krzyżem.

Rzeczywiście z za krzyża wysunęła się spora gromadka ludzi, poprzedzona dwoma skrzypkami, którym wtórowały buczące basy. Za muzyką szedł parobek, niosący spore sosnowe drzewko, (rodzaj naszych choinek) na którém pozawieszane były wstążki i pierze. Daléj szły śpiewające druchny, mające głowy bogato w ziele i kwiaty ubrane — za niemi państwo młodzi i reszta orszaku weselnego.

Franka nieruchoma, z wyciągniętą szyją przypatrywała się weselnemu orszakowi, przeciągającemu ze

śpiewami i wesołym krzykiem — oczy miała wytężone w tę stronę, usta otwarte, bez oddechu prawie.

— Ha, fałeśnica, jak jéj wesoło — zasyczała.

— O kim mówisz?

— O niéj, o niéj — rzekła wyciągając ku drodze muszkularną dłoń, przewiązaną żyłami jak powrozami. Idzie przysięgać jednemu, choć innemu już raz przysięgała.

— Więc to wdowa

— Nie, przysięgała mu nie w kościele; ale była mu już zmówiona, (zaręczona) i niedługo miało być wesele. Com ja się panie wtedy napłakała, com się nakąsała z bólu jak gadzina. Bo widzicie panie i ja go kochałam, a nie tak faleśnie (obłudnie) jak ona, choć na mnie ani patrzeć nie chciał. Ona kochała jego zagrodę, jego statek (bydło) — a nie jego; mówiłam mu to nieraz — nie wierzył i bił mnie za to. A przecież stanęło na mojém. Przyszedł starszy brat od wojska, o którym pisano już, że umarł, i upomniał się o ojcowiznę; procesowali się długo, matka świadczyła za młodszym: ale starszy i tak wygrał sprawę — i ślepą matkę i brata wypędził z domu, tak się zawziął na nich. Wtedy młodszy brat zakradł się z toporkiem do chaty i rzucił się na niego: chciał go zabić; ale tylko ranił ciężko i uciekł w góry, bo go chciano do kryminału wsadzić. Ślepa matka starucha, powlekła się na żebry po świecie i nie wróciła więcéj. — A narzeczona Jonka idzie teraz za jego brata, bo bogaty. O szelma!

— To cię właśnie cieszyć powinno, że ci nie zabrała miłego.

— Cieszyć? A co mnie ma cieszyć, że on tak poniewiera się po świecie, kryć się musi przed ludźmi i po nocy jak wilk gonić. — Biedny Jonek!

Spazmatyczne łkanie zerwało się w jéj piersi.

— Ty go kochasz jeszcze?

— Toć on teraz nie ma nikogo, tylko mnie jednę.

— Jakto — więc ten człowiek, który wczoraj tu był?...

— Przecież pana znajduję — odezwał się ktoś w téj chwili za mną. Ach umieram z umęczenia — tak się złaziłem za panem.

Był to Loluś — kuzynek Paulinki, cały żółty, nankinowy.

— A! pan tutaj z jakąś nimfą leśną?

— To siostra mego gospodarza.

— Dalibóg nie szpetna, żeby ją tak umyć, uczesać, oporządzić, toby furorę zrobiła w Warszawie. Jaka kształtna — mówił zbliżając się do niéj i biorąc ją za rękę.

Wyrwała mu się gwałtownie, ściągnęła gniew nie brwi i rzekła ostro:

— Idźcie, zkądeście przyszli: bo jakbym was prasnęła (rzuciła) o ziemię, tobym wam gnaty pogruchotała.

Loluś zmięszał się, wstyd było jednak ustępować i udając, że się nie lęka pogróżek, posunął się bliżéj ku niéj.

W téj chwili odwinęła żylastą rękę i tak palnęła wielbiciela nimf leśnych, że się aż przewrócił na ziemię. Roześmiała się jak dziwożona nad rzeką i skoczyła w zarośle. Pobiegłem z pomocą ku Karolowi, który z trudnością dźwigał się z ziemi.

Powstał, otrzepał nankinowe ubranie z kurzu, obejrzał się w koło i biorąc mnie za rękę, rzekł płaczliwym głosem.

— Panie! jeżeli mnie pan cokolwiek kochasz, nie mów pan o tém nikomu, szczególniéj cioci.

(Ciąg d. n).

Wystawa powszechna w Paryżu

(1867 roku).

Ze sprawozdań zeszłorocznych poznaliśmy już, jaki charakter i cel miała ta ogromna międzynarodowa wystawa, tj. przedstawić wszelkie sposoby i drogi, które wynajduje i używa przemysłowa i artystyczna twórczość ludzi, aby zadosyćuczynić, bądź to istotnym, bądź przemijającym potrzebom swojéj podwójnéj przyrody, duchownéj i fizycznéj. Odbyliśmy przegląd kultury pojedyńczych narodów, patrzyliśmy z różnych stron na obraz cywilizacyi całéj ziemi naszéj. Trafnie powiedziano, że takie wystawy światowe są wędrówkami ludów w znaczeniu XIX. wieku. Nie grożą one zniszczeniem i napadem, ale pouczają i zachęcają.

Ale nie tylko obecny stan cywilizacyi oglądaliśmy, mogliśmy tam obcować i z wiekową przeszłością z historją. Czasy biblijno - patriarchalne, republikańskie i konstytucyjne wycisnęły swoje piętno na wystawionych przedmiotach. Ręczna tkanina dzikich, obok mikroskopijnych koronek wyrabianych przez maszyny; strzała i łuk, obok olbrzymich dział: łódka z kory drzewnéj, obok okrętu pancernego; mozolne żarnowe mlewa, obok parowéj mąki i pieczywa; nieudolne znaki na korze i liściach, obok telegrafów, maszyn rachunkowych i drukarskich pospiesznych tłoczni: obok potwornych bohomazów fantazyi nieokrzesanéj, mistrzowskie dzieła sztuki, jako szczyt rozwoju i uobyczajenia naszych czasów — oto widoki, mogące godnie zająć każdego myślącego człowieka. Przyglądając się tym walkom człowieka z zewnętrzną przyrodą, téj mozolnéj drodze jaką musi przebywać każdy nowy pomysł zanim się w żywe kształty przyoblecze, dochodzimy zapomocą podobnych wystaw do tego uspakajającego przekonania, że w dzisiejszych stosunkach już żaden wynalazek, ani odkrycie przepaść nie może; że druk i ułatwione środki ko-

munikacyi nie dopuszczą nigdy, iżby się ludzkość mogła cofnąć wstecz i zaniosą cywilizacją do najdalszych, dzikich jeszcze kończyn ziemi.

Są potrzeby, i to zarówno moralne jak i materjalne, które mniéj więcéj wszystkim ludom są wspólne. Jeżeli człowiek nawet w pierwotnym stanie swoim dla swego istnienia potrzebuje pożywienia, pewnego od klimatu zależnego ubioru i mieszkania, to warunkom tym może czynić zadość jedynie przez przyswojenie sobie pewnych środków pomocniczych, narzędzi, sprzętów. Będą one z początku zupełnie surowe, tak co do materjału jak i obrobienia (kość, krzemień) zwolna jednak ulepszają się, aż przybiorą kształt wygodny, oszczędzający pracę i siłę: a który jest znamieniem wysoko posuniętéj ogłady i umysłowéj uprawy. Już w pierwotnym stanie podpatrują ludzie u przyrody tę tajemnicę, ażeby z pożytkiem łączyć piękność. W pierwszéj galeryi „historja pracy" *) widzieliśmy narzędzia znajdowane w pierwotnych jaskiniach, torfowiskach i w licznych resztkach budowli jeziornych — a na nich już się znajdują wyryte ozdoby i całkiem wyraźnie możemy śledzić przechodu rzemiosła w sztukę. Sztuka zaś jest najprawdziwszą miarą stanowiska narodu **). Wystawa powszechna uzmysławia nam to zapatrywanie, prowadząc nas do cywilizacyi na jéj dzisiejsze szczyty. Temi szczytami są sztuki piękne, a po nich idą dalsze galerje wszelakiego przemysłu ręcznego, maszynowego, chemicznego, rolniczego, męzkiégo i żeńskiego. Widzieliśmy*), jak w tém wszystkiém przebija chęć pogodzenia i zlania umiejętności z życiem, idealizmu z materjalizmem. Na tym wszechświatowym konkursie oddano wszelką sprawiedliwość myśli, uznano (grupa X.), że z przybytkiem zręczności i mechanicznych udoskonaleń nie wieleby jeszcze było korzyści, jeżeli równocześnie nie zostanie rozwiązane wielkie społeczne zagadnienie naszego czasu, tj. ugoda między posiadaniem, a proletarjatem; między kapitałem a dziennym zarobkiem; między fabryką, a robotnikiem; słowem, między bogactwem a nędzą. A jednêm z głównych zadań jest tutaj rozszerzenie zakresu dla pracy kobiet, podniesienie wynagrodzenia za nią i wydarcia dzieci z kleszczów fabryk, a oddanie ich w objęcia zakładów wychowawczych i szkół. Pomyślny rozwój stowarzyszeń dobroczynnych otworzył pod temi względami nowe drogi dla ratunku społeczeństwa przed upadkiem w nędzy, ciemnocie i zwolnieniu obyczajowych rodzinnych węzłów.

IX.

Śledząc w sprawozdaniach naszych za temi korzyściami, które z wystawy powszechnéj wyciągać można i należy, szukając oznak do osądzenia czasów, podnosząc z dumną radością znaczenie sztuki polskiéj, przytaczając cokolwiek dla nas korzystnego i godnego naśladowania było można tam napotkać — przeglądnęliśmy już cały pałac — a z parku pozostały nam jeszcze budowle. Był to dział niemniéj zajmujący. Widzieć zgromadzone pod jednêm niebem, przedzielone zaledwo kilkoma drzewami minarety i moszee z Konstantynopola, ciężkie pałace starego Egiptu, chaty szwedzkie, chałupy rosyjskie, pagody chińskie, pałace arabskie, wille włoskie, nadmorskie szałasy angielskie, kapryśne fantazje budownictwa maurytańskiego, obok szlachetnych wymiarów sztuki greckiéj, dziwactwa chińskie, obok najprostszego pawilonu stowarzyszenia biblijnego — to wszystko widzieć razem zgromadzone, znaczy daleko więcéj, jak czytać najdłuższe architektoniczne rozprawy, widzi się tu przed sobą ustęp z dziejów cywilizacyi i przemysłu wszystkich krajów. Z wszystkich budynków w parku zachwycano się może najwięcéj pawilonem cesarzowéj francuskiéj — tj. ofiarowanym jéj na spoczynek przy zwiedzaniu wystawy. Było to wistocie cacko przepyszne, zbytkowe, a wesołe i świeże — pawilonik wiosny. Cechę tę nadawały tapety francuskie o jasnych, żywych barwach, na których plączą się najcudniejsze kwiaty i latają kolibry, rajskie ptaki itd. Dodawszy elastyczne meble, wszelkie najwyborniejsze wygódki, matowe okna, a złożyło się schronienie arcymilutkie, ale też koniec na tém. Kto ma takie saloniki i budoarek, niech się cieszy, nas więcéj co innego zajmie, a głównie budowle wschodnie. Nawet Włochy nie mogły tu mierzyć się ze Wschodem. Boć Coliseum, Pantheon, kościoły, gmachy weneckie i genueńskie nie można podawać w zmniejszeniu. Rzeczy wspaniałe i wzniosłe chcieć zrobić skromnemi i pokornemi, to znaczyłoby tyle, jak wystawić je na śmieszność. Tymczasem Wschód, bez obawy popadnięcia w parodją, mógł nam wystawić okazy architektury, która polega głównie na pewnych wdzięcznych szczegółach, na delikatnych drobiazgach, ozdobach pozawieszanych jak gniazdka po ścianach, na bramach o szerokich, ściętych łukach na uśmiechających się arabeskach. W tych budowlach przyjrzémy się domowemu życiu Wschodu, ale przed tém kilka jeszcze wzmianek.

Oto pawilon hiszpański. Cztery kwadratowe wieże, szerokie bramy, kunsztowne szyby w oknach, a naokoło u góry wieniec z posążków — nadawały temu budynkowi raczéj cechę monumentu, jak pawilonu. Jest to wzór najpiękniejszego pałacu w Salamance, a obejmuje wystawę płodów z kolonij hiszpańskich: tarcice dębowe, cygara najwonniejsze, muszle, wypchane ptaki o świecącém pierzu i fotografje jałowych puszcz. W jednéj sali stoi wypchany ogromny andaluski byk, bohater cyrkowy, który padł raniony przez gladiatora wpośród oklasków tłumu. Cóż dziwnego, że w Hiszpa-

*) Patrz Nr. 21. z r. 1867.
**) Patrz Nr. 31, 32, 33.
*) Patrz Nr. 34, 35, 46, 37, 38.

panii trzymanéj w średniowiecznéj ciemnocie te krwawe igrzyska, utrzymują się dotąd i mają kilkadziesiąt stałych cyrków — kiedy w Anglii walki kogutów, lubo zakazane, jednak praktykują się namiętnie.

Kiosk portugalski z kopułą i ząbkowaniem maurytańskiém obejmował również płody kolonij azjatyckich. Sufit wyłożony skórami tygrysów, panter i wężów; broń, sceny ze słoniami, trzewiki z drzewa sandałowego gustownie wyrobione, arcydzieła cierpliwości i pracy tych krajów, gdzie szale przepyszne są ręcznym wyrobem. Mnóstwo oprócz tego drobnych sprzętów indyjskich; na wszystkiém tło czerwone i żółte arabeski.

W domostwie norwegskiém podziwiana oprócz narzędzi do rybołóstwa, stor i innych wyrobów z drzewa, wózki na jednę osobę nierównie lżejsze i mniejsze jak nasze góralskie. Widać z nich, że człowiek tam w zimnéj północy tylko z koniecznéj potrzeby puszcza się pojedyńczo w drogę.

Obok stał dom Gustawa Wazy, wzór owego który ten król niegdyś zamieszkiwał — a który w Szwecyi z czcią nietknięty zachowany został. Dach pokryty mchem, zewnątrz ściany wyłożone małemi deszczułkami w kształcie łusek, a wewnątrz białą korą brzozową. Z wystawy w tym domu najciekawszą i radosne wrażenie sprawiającą jest jedna sala, przedstawiająca wzrór szkółki szwedzkiéj. Szczególnie dla nas jest to widok nie do opisania rzewny. Po skromności i prostocie całego urządzenia poznać, że to szkółka ludowa, wiejska. A jednak jaka tam wygoda, jak wszystko obmyślone, jak niczego nie brakuje. Okna z obu boków, w ławkach, które od niziutkich coraz się podnoszą, są oddzielone miejsca dla każdego chłopca, w każdém stale utkwiony kałamarz; pomiędzy ławkami i środkiem wolne przejścia, na podwyższeniu pult dla nauczyciela — wesoło tam, obszernie, świeżo. Ściany poobwieszane rycinami, mapami, modelami do rysunków i kaligrafii, na pulcie zielniki, szafki z mineralami, a w ławkach książki, które poplamieniem i obszarpaniem świadczą, że je z rąk dzieci wyjęto i tu przysłano. Druk duży, a z mnóstwa rycin można poznać treść: geografia, przyrodoznawstwo, dzieje ojczyste.... Kiedyż to nasze szkółki zbliżą się do takiego wzoru, i budową i wartością nauki!

Jakkolwiek dużo rodaków na wystawie można było spotykać — to jednak dziwnym wypadkiem raz jeden tylko w téj szkółce słyszałem Polki mówiące po polsku i oglądające wszystko z takiém zajęciem, że widocznie serce musiało im tutaj żywiéj uderzać.

Rosyjską chatę włościańską ustawiono w parku chyba dla złudzenia zachodniéj publiczności. Przysposobiono ją w Petersburgu i przysłano w 2500 pakach wraz z mużykami, którzy ją złożyli i zamieszkiwali. Domek nie wielki, ale schludny i dosyć wygodny, z urządzeniem patriarchalném. Izba wielka należy do głowy rodziny, mała dla pożenionych dzieci, którzy następnie posiadłość odbiorą i do wielkiéj izby się przeniosą. Naczynia czyste, ściany poprzyozdabiane ikonami, okna widoczne. Chata ta podobała się bardzo, ale wątpię czy uwierzono, że włościanie rosyjscy tak czysto i wygodnie mieszkają. U nas dotąd jeszcze służy często jedna komora dla ludzi i bydła, a cóż dopiero w Rosyi, gdzie tak niedawno przestał być chłop rzeczą i własnością.

Zato końmi swojemi mogła się Rosja pochwalić. W eleganckiéj stajni było ich 12 — oczywiście stadniny polskie dostarczyły, co było najlepszego. Obok koni miały swoją kabinę dwa harty sybirskie, którym wielki rozum z oczu wyglądał.

Rosja ustawiła również mieszkania ludów dzikich lub stepowych: Namiot Jakutów z kory drzewnéj — jest to pierwotne jeszcze, najniedołężniejsze schronienie ludzkie, bez wygody, bez gustu. — Jurta Kirgizka również w kształcie namiotu, ale z jaskrawych tkanin, wewnątrz są już siedzenia i oparcia.

Obok tych przenośnych schronień stanął wzór ponurych, podziemnych mieszkań Rzym, jako miasto przeszłości, posłał tu kawałeczek ze swoich wspomnień: katakomby. Ułomek ten dawał dokładne wyobrażenie o tych czarnych podziemiach, których ogromna sieć rozgałęzia się pod wieczystém miastem. Wzdłuż ścian w wązkich uliczkach są columbaria, w których chowano zwłoki męczenników, niby w kamiennych grobowcach. Tu i ówdzie przerywają jednostajność maleńkie cele — w nich to pierwsi chrześcijanie odprawiali swoje nabożeństwo — w nyżkach są naczynia z krwią.

Dziwnie odbijała od tych wspomnień męczeństwa i tajemnicy krzątanina towarzystwa biblijnego angielskiego. W kaplicy protestanckiéj odbywały się nieustanne kazania — u wejścia rozdawano biblije we wszelkich językach i listy św. Pawła. Jest to kosztowna propaganda i nie można jéj zaprzeczyć zacnego charakteru. Biblija jest dla rodziny protestanckiéj konieczną, najcenniejszą i najprzyjemniejszą księgą dla czytań wieczornych i świątecznych. We Francyi zaczyna się również rozpowszechniać zwyczaj, że nowożeńcy dostają w darze bibliją — jest to nieraz jedyna książka w ubogiéj chacie, tak jak u nas w niejednym dworze kalendarz.

A teraz udamy się na Wschód.

TEATR. Pani Aszperger — Miłość i dyplomacja — Balladyna. — Jako gość występuje na naszéj scenie pani Aszperger. Pamiętamy znakomitą artystkę w jéj świetnych czasach z występów jeszcze za dyrekcyi Pfeifra, jako Deborah, Adrienne Lecouvreur, Gryzelda... Dzisiaj po tylu latach spotykamy u niéj jeszcze tę samą siłę i prawdę. Gra p. A. nosi na sobie inne cechy jak np. pani Modrzejewskiéj. U téj jest wielkie bogactwo odmian, cieniowań, fantazja w pojmowaniu roli i w ruchach — szkoła romantyczna; gra p. A. natomiast jest więcéj klasyczną, koturnową; główna siła polega u niéj na deklamacyi, na nie wielu, ale opracowanych i wyczerpanych efektach. Właściwości te uzdalniają p. A do odtwarzania na scenie postaci klasycznych francuzkich dramatów Rosyna, Corneilla; przeciwnie w takich efektowych wyskokach jak „Kabalarka" wygląda, jakby nie w swoim żywiole. Drugi raz widzieliśmy p. A. w komedyi Feuilleta — „Miłość i dyplomacja". Jest to utwór śliczny; temat, motywa nie są nowe, ale prowadzenie jest tak zręczne i dowcipne, tak wyborna charakterystyka osób, że i artyści i publiczność równą w przedstawieniu muszą znajdować przyjemność. — Pan R. dyplomata, zajęty w ministerium spraw zagranicznych sprawami całéj kuli ziemskiej, nie wie, co się u niego w domu dzieje, zaniedbuje żonę, która przekonana, że on jéj nie kocha, znudzona, a pragnąca zajęcia dla serca, znajduje się na niebezpiecznéj drodze sprzeniewierzenia. Baronowa, chrzestna matka p. R. jest to osoba również zacnego charakteru, ale przytém ostrożna i baczna. Pragnie ona z pomocą p. R. umieścić syna swego przy ambasadzie w Madrycie, aby go wyrwać z lekkiego paryzkiego życia, w którém by się mógł roztrwonić. Ale zabiegi jéj nie są na rękę synowi, a żona pana R. również jest temu przeciwną. Baronowa na konferencyi z synem nakazuje mu przebłagać panią R., bo widać musiał ją sobie czémś narazić — wyciąga go przytém na spowiedź, że ma miłostkę — zakochał się w mężatce — urządzili pocztę, i właśnie pierścień męża ma być na balu umówionym znakiem. Baronowa dostrzega pierścień na palcu pana R. prosi, żeby jéj go pożyczył, a udając się do ministra, oddaje panu R. syna pod straż, żeby go nie wypuszczał ostrzegając go, że tu idzie o ważniejszą rzecz niżby myślał. Pan R. dziwi się zbytniemu rygorowi baronowéj i pozwala for synowi umknąć. Ten bowiem nie zobaczywszy u pana R. pierścienia, (bo mu go baronowa odebrała) widział w tém znak, że go czekają. Baronowa powraca — i nie zastawszy syna rozpacza, idzie jéj bowiem zarówno o niego, jak i panią R. R. widząc to, pędzi za nim, dogania, przywozi do domu i oddaje pod straż swojéj żonie, a sam jeszcze do interesów odjeżdża. Pani R. żąda, żeby więzień ją opuścił; ten się tłomaczy, że przecież odebrał znak przychylny, zaklina ją, rozczula i ją i siebie. — Na to zajeżdża baronowa — pani R. ukrywa jéj syna w sypialni. Baronowa prosi ją o protekcją dla syna, dla pozyskania jéj opowiada, że to jest koniecznością, że od jéj odjazdu zależy szczęście wielu ludzi, spokój rodzinny zagrożony — słowem opowiada własne dzieje pani R. Ta idzie pisać list do ministra, baronowa udaje zaczytaną, aby jéj dać sposobność oddalenia więźnia — poczem obie rozczulone dziękują sobie nawzajem z takiego zakończenia sprawy. Ale syn baronowéj po odejściu pisze list do pani R. i oddaje go pokojówce. Stryj pani R. przeżyty pretensjonalny kawaler, który wszędzie niepotrzebnie się zjawia, myśląc że to list w sprawie posady, poséła go do męża. Wskutek tego nadchodzi właściwa burza — mąż ma dowód w ręku. Baronowa w strachu o syna — bo R. zabije rywala — zmyśla, że ona to pisała, aby go zaniepokoić i dać mu naukę — p. R. przyznaje się do winy, że dla żony nigdy nie miał czasu. Ale żona jego nie chce sztucznéj zgody, wyjawia prawdę. Mąż jéj przebacza oświadczając, że został ambasadorem w Madrycie, a przy nim mianowany syn baronowéj. Nowy kłopot — autor listu musi być wykryty, bo nie podobna, żeby jechał z panią R. Ale że w całym ich stosunku nie było nic więcéj prócz chwilowego oszołomienia — a na wszystkich zarówno trochę winy ciąży, R. prosi baronowéj, żeby wyłajała swojego dzieciaka — któremu wyrabia posadę w Paryżu — sam zaś powraca do swojego dzieciaka, do żony. — Oto treść pełna prawdziwéj komiki, która polega na tém, że mowa, charakter, postępowanie wprowadzonéj osoby są ze sobą w ciągłéj sprzeczności. R. dyplomata po za domem, w domu, z braku ostrożności sam ułatwia wszelkie intrygi przeciw sobie; baronowa ze zbytku ostrożności sama sprawę zagmatwuje, (odebranie pierścienia) tak samo stryj pani R., którego pretensje kłócą się z niedołęztwem — a obok nich para młodych ludzi, którzy sami nie wiedzą czego chcą, i zaplątują się mimowoli. Jest to zatem wyborna komedja, a odegranie jéj podniosło wszystkie jéj zalety. — Wszyscy artyści grali wybornie; bo już to salonowa komedja z wyższą komiką, w któréj grają pp. Aszperger, Modrzejewska, Rapacki, Ładnowski — musi pójść wybornie. Tylko p. Wolski nie umiał zrobić typu z swojéj roli.

Niepodobna jest jednych i tych samych artystów męczyć ciągle trudnemi przedstawieniami. Ztąd zapewne pochodzi, że w ubiegłych dwóch tygodniach widzieliśmy różne drobne komedyjki i farsy; jedne z sensem, inne bez sensu np.: Spotkanie — dawane jakby dla wytchnienia i artystów i publiczności. „Wybory" napisane w rodzaju przedmieściowych wiedeńskich juks'ów mogą z powodu lokalnego zabarwienia i okolicznościowych śpiewek utrzymać się na niedzielne przedstawienia — Piosnka wujaszka i Chłopi arystokraci dają pole do popisu dla pp. Ekerowéj, Heniga i Janowskiego, który jako góral w komedyi Korzeniowskiego: „Nowy mizantrop i druciarz" jest niezrównanym. „Uliczník paryzki" utrzymał się wyborną grą pp. Hofman i Rapackiego. — Ale podobne parodje jak Urszula Majerin, powinny być raz na zawsze z reportoarza wykreślone.

Wielkiéj rzeczy dokonano przedstawieniem Balladyny Słowackiego, którą pani Hofman miała odwagę wybrać na benefis. O saméj sztuce nie będziemy mówić; sądzimy bowiem, że świeże dzieło p. Małeckiego o Słowackim, jest w każdym ręku, zresztą odwołujemy się do artykułów Kaliny: „Kobiety dramatów Słowackiego" — przez Michała Bałuckiego, które wyszły i w osobném odbiciu. Pomówimy więc tylko o samém przedstawieniu. Poszło ono nadspodziewanie. Obsada ról była wyborna — wszystkie pierwiastki sztuki, strona bajeczna, fantastyczna, ludowa, i żywcem w naturze podsłuchana, właściwa czerwona nić dramatu zostały należycie uwydatnione. Prostota ubiorów w aktach odbywających się w wiejskiéj chacie, dziewice z dzbanami malin (panie Hofman i Bauman), matka, wiejska starucha (p. Aszperger) — były to rzeczy przypominające świeżość i powagę dramatów greckich, a woń

ludowéj baśni nadaje im nieporównany urok. Kirkor (p. Ładnowski) z orlemi skrzydłami, ckliwo-sentymentalny Filon (p. Janowski) pustelnik (p. Wolski) o jakich piastunki prawią, Grabiec (p. Benda), wszystko to postacie dziwne, nie widywane na scenie, nowe — a jednak przedstawione prawdziwie, wydają nam się jakby zkądś znane i pozyskują uwagę i sympatja widza, tak, że lubo sztuce brak właściwéj dramatycznéj fabuły, nie nuży wcale — tyle co kroku spotykamy tam oryginalnych piękności i prawdy. W istocie nie przypuszczaliśmy, że Balladyna ma tyle scenicznych warunków. Nawet świat duchów Goplana, Skierka, Chochlik (pp. Modrzejewska, Bendówna, Baranowska) przedstawiał się z wdziękiem i poezją, a miła, sielankowa i czarodziejska muzyka pana Hofmana, podnosiła jeszcze wrażenie i złudzenie. Brakło tylko świetności dekoracyj, widoków wodnych z stósownem oświetleniem i perspektywą, czego jednak trudno od naszéj wymagać sceny. Pani Aszpergerowa w roli matki umiała zachować prostotę w najwyższéj tragiczności — była to rola właśnie odpowiednia jéj talentowi. Głos p. Hofman jest trochę za miękki na Balladynę — a sceny przed zabiciem siostry wymagają więcéj zimna, refleksyjności. Lecz całość gry była godna oklasków. Kostryna puścił p. Rapacki mimo, zrobił go po prostu kusym niemcem — należało jednak uwydatnić w nim czarny żywioł w postaci teutona krzyżaka — w sztuce téj nie ma anachronizmów. Filon winien być mniéj przesadny w akcyi, gdyż sama dykcja jego jest już przesadną. Kirkor winien być mniéj czuły — jest to olbrzym z sercem — z roli téj należy stworzyć typ słowiańskiego rycerza, jasną duszę, czystą naturę. Goplana powinna być owiana w szerszą mgłę tiulów, aby mogła idąc-płynąć. Dzbany na maliny powinny mieć kształt znajdowanych w uroczyskach, a przynajmniéj wiejskie jasno polewane. Ale te drobne usterki ginęły wobec poezyi utworu, chociaż recenzent winien je wytknąć. Niemniéj jednak należy się benefisantce podziękowanie za udarowanie nas tą balladą sceniczną, za sprawienie nam świetnéj uroczystości teatralnéj, która nas przekonała, że Balladyna na zawsze ozdobą repertoarza pozostanie. — W przedstawieniu zastósowano się do instrukcyi p. Małeckiego — zdaje nam się jednak, że nie należy wykreślać historyka Wawela — jego wystąpienie na końcu potrzebne jest dla zaokrąglenia i uwydatnienia legendowéj cechy sztuki. Znacznéj części publiczności spotykającéj się po raz pierwszy z tym utworem, ułatwiłby Wawel zorjętowanie się swojém opowiadaniem. **S.**

W epoce zabaw, kuligów — „Krakowiaki“ są może najpożądańszą poezją dla wielu czytelników; czyniąc więc zadość życzeniom i czasowi, umieszczamy nadesłane nam niniejsze kuligowe utwory:

Krakowiak.

Płynie Wisła srebrną wstęgą, ani się zatrzyma;
Bodajże cię dziewczę bodaj z twojemi oczyma!
Zaledwom cię raz zobaczył, jużem się zapłonił, —
Zaledwieś na mnie spojrzała, jużem ci się skłonił.
Bodajże cię, mówię, bodaj za moje strapienie,
Za tęsknoty mego serca i moje cierpienie!

Świeci księżyc hej aż miło, a i gwiazdy świecą,
Kogóż cudne twoje oczy — kogo nie zachwycą?
Nie zachwycą, nie zczarują, do gustu nie wpadną,
A niechże cię za te oczy dziewczyno ukradną!
Lecz przez Boga — zostań lepiéj, zostań jak cię proszę,
Bo mi lube są te troski co dla cię ponoszę.

Chłopak ci ja jakich mało na krakowskiéj grzędzie,
Mówią — żem troszkę za śmiały, niechże i tak będzie.
Cóż to kogo ma obchodzić, że dla cię dziewczyno
Najrzewniejsze moje piosnki w podarunku płyną.
Na cóżeś tak ładna wzrosła jak róży kwiateczek
Taka miła, jak ten niebios cudny aniołeczek.

Bodajże cię dziewczę bodaj!.. biedaż moja bieda!..
Pogniewałem mą dziewczynę — na cóż się to przyda.
A nie gniewajże się na mnie, jak cię ładnie proszę,
Jutro jarmark — kupię ci już wstążkę za trzy grosze;
I medalik pozłacany i pierścionków parę —
A dam na nich wykuć miłość, nadzieję i wiarę.

O nie płaczże dziewczę moje, jak cię błagam o to;
Kupię ci już koraliki z klamereczką złotą —
I fartuszek ładnym ząbkiem lamowany w koło
Tylko się nie gniewaj na mnie, tylko bądź wesołą....
Bodajże was piosnki moje! oj biedaż mi bieda!.
Zapłacze mi się dziewczyna, na cóż się to przyda?

J. F. Stanko.

*** Operetkę St. Duniećkiego „Pokusa“ — przedstawione w zeszłym roku w teatrze Krakowskim — dawano w Berlinie pod tyt.: „der Teufel ist los“ — a obecnie w Wiedniu p. t. „Lucifer“.

*** Na Uniwersytecie w Zürichu otrzymała pewna Rosjanka stopień Dr. medycyny. Rektor zwrócił przytém w przemowie uwagę na potrzebę rozszerzenia zakresu dla pracy kobiet. Czyż dla słabości kobiet mogą być stósowniejsi lekarze, jak właśnie kobiety? W przedmiocie tym zamieścimy wkrótce obszerniejsze artykuły.

Otrzymujemy z wielu stron zapytywania o stósowne sztuki dla teatrów amatorskich i dziecinnych. Przy téj sposobności powtarzamy, że we wszystkich sprawach tyczących się bądźto wychowania, oświaty, książek, zabaw towarzyskich — i mody, najchętniéj Sz. Prenum. naszym informacije i pośrednictwo nasze ofiarujemy.

*** W Berlinie umarł p. Mieczysław Waligórski, redaktor Dziennika Poznańskiego. Był to mąż wielce czynny i dbały o sprawy publiczne, w ostatnim czasie zajmował się gorliwie wydawnictwem pism ludowych. Strata jego szczególniéj dla Wielkopolski jest dotkliwą.

*** Na trzechkróli odbył się w resursie miejskim wieczór tańcujący. — Jakkolwiek resurs nie posiada wielkiéj sali, to jednak w dwóch dużych pokojach szła zabawa ochoczo do godziny 4 rano, par tańczących było 30. Spodziewać się można, że następne wieczory pójdą równie dobrze.

*** Dziś 15go odbędzie się bal akademicki, zapewne najświetniejszy z tegorocznych.

*** Od dwóch lat naprawiła się opinija o redutach krakowskich — wśród licznéj publiczności pojawiały się udatne maski i całe grona dominów, które dowcipem i maleńkiemi intryżkami, nadawały ruch i zajęcie tym zabawom. W zeszłym roku opowiadano nawet dosyć ciekawe historje o omyłkach, niedotrzymanych *rendez-vous* itp. Zapewne i w tym roku zabawy te się powiodą, mają bowiem za sobą i tę zaletę, że nie są kosztowne.

*** Donoszą dzienniki, że lekarz pewien w Niemczech zrobił nadzwyczaj ważne doświadczenie. Wpuszczany zapomocą stósownych przyrządów strumień światła elektrycznego w ciało ludzkie, robi je przeźroczystém, tak, że wnętrzności i żołądek można przez skórę widzieć. Podają już nawet wiadomości o różnych operacjach, które wskutek tego wynalazku szczęśliwie dokonano.

☞ Upraszamy o uwzględnienie, że z powodu zasp śniegowych poczty i koleje się spóźniają.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Mikołajska, 451, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867



„Luty" „KALINA" 1862.

Paris & Vienne.